№ 34. Rok XXXIII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

PISMO ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie. . . . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Na prowincyi
Kwartalnie. . . . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Chmielna Nr 26.

Warszawa, dnia 10 (22) Sierpnia 1891 roku.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi marek 3 pf. 50.

ROGATA DUSZA.

POWIEŚĆ

Juliana Łętowskiego.

(Dalszy ciąg.)

XI.

Mania nie mogła tej nocy zasnąć. To przypadkowe, nieoczekiwane zgoła spotkanie i ten widok pana Konrada, otulającego płaszczem młodą dziewczynę, nie schodziły jej z pamięci.

Tysiączne domysły poczęły ją dręczyć.

Byłaż ta jego troskliwość, tak widoczna, tak bijąca w oczy, zwykłą grzecznością towarzyską, grzecznością zwróconą ku siostrze przyjaciela? Bo że ta panienka była siostrą dawnego jej profesora z pensyi, to dla Mani nie ulegało już prawie żadnej wątpliwości. Marczewski miał słuszność: podobieństwo było rażące. Te same czarne, błyszczące oczy, te same rysy, ta sama szczupła figura. Tylko twarz młodej Zawadzkiej, jak zwykle twarz kobieca, miała w sobie coś delikatniejszego, drobniejszego, niewieściego, poza tem nic ich nie różniło i nietylko Marczewski, lecz każdy, musiałby był to podobieństwo pochwycić.

Ach, tak! Zanim Marczewski wyraził słowami to swoje przypuszczenie, ona już sama wpadła na ten domysł.

A może była to zwykła gorliwość młodego lekarza; lekarze, wiadomo przecie, wszyscy w początkach karyery swojej po większej części w tym względzie przesadzają? Wieczór właśnie zapadał i zrobiło się chłodno, a ta młoda osoba widocznie przebyła jakąś cięższą chorobę. Może pan Konrad ją leczył i ztąd poczuwał się jeszcze do opieki nad nią?

Ale wszystkie te uspakajające myśli nie mogły jej zadowolnić. W głębi serca czuła jakiś ból i troskę, które wzrastały wmiarę tych wszystkich przypuszczeń. Złe jakieś przeczucie, którego wytłómaczyć sobie nie umiała, ściskało jej serce i nie dało długo zasnąć, a nawet i podczas snu, spowodowanego znużeniem, jeszcze owe myśli ją nawiedzały.

Nie mogąc ranka doczekać, zbudziła się nazajutrz wcześniej niż zwykle, blada, bez sił i woli. Zegar wskazywał dopiero parę minut po szóstej. Cały dom pogrążony był jeszcze w spoczynku, służba tylko krzątała się zcicha, wstając widocznie dopiero. Wróciła więc znowu do łóżka, zmuszając się do snu—napróżno. Gdyby mogła, radaby była przeleżeć dzień cały z zamkniętemi oczyma, nie chcąc widzieć niczego i niewidziana przez nikogo. Dopiero myśl o matce, która już wczoraj, za powrotem do domu, dostrzegła u niej pomieszanie, dodała jej sił nieco, nakazując opanować gnębiący ją rozstrój.

Udało jej się to tak dalece, że podczas śniadania była zupełnie spokojna; śmiała się, żartowała i zdołała tą swobodą swoją olśnić nawet bystre oczy matki, która nie domyślała się wcale, jak drogo to wszystko zostało okupione.

Miały tego dnia parę wizyt do oddania i Mania, występująca zawsze z jakąś opozycyą przeciw tym towarzyskim obowiązkom, nie wzbraniała się od nich tym razem wcale, zgóry zgadzając się na wszystko.

— Dobrze, pójdźmy! — odparła, gdy matka przypomniała jej o tem.

Byłaby przystała na wszystko, byle tylko rozerwać zbiedzone myśli, byle uciec przed niemi choć na chwilę.

Trzymała się tak dzień cały, łudząc wszystkich swoją wesołością i śmiechem, i dopiero pod wieczór wysiłek ten zemścił się na niej. Ledwie na nogach mogła się utrzymać.

I wtedy jednak jeszcze, nie chcąc zdradzić się przed matką, upozorowała to swoje osłabienie znużeniem i bólem głowy, mówiąc, iż z przyjemnością przedrzemałaby się trochę.

Ale, gdy uzyskawszy łatwo pozwolenie, znalazła się sama w swoim pokoiku, długo powstrzymywany żal wybuchnął teraz całą siłą.

Blada, jakby cała krew uciekła jej z twarzy do serca, rzuciła się na kanapkę, łamiąc ręce bezwiednie, miotana wewnętrznym bólem.

— Ha, ha, ha! — zaszlochała głośno.

Zaraz jednak, jakby w obawie, iż mógłby ją kto posłyszeć, otarła szybkim ruchem załzawione oczy i przybrała bladą twarzyczkę w przymuszony uśmiech.

Nikt atoli nie wchodził. Matka, zadowolona z przebiegu dzisiejszego dnia, poszła właśnie ciszyć

służbę, mówiąc, że panienka śpi i nakazując nie budzić jej pod żadnym pozorem.

Ona tymczasem, widząc się osamotnioną, załamała znów rączki i puściła wodze swoim rozpaczliwym myślom.

Pół roku temu jakże była szczęśliwa, wolna, swobodna, a dziś co? Dziś już musiała kłamać uśmiech dzień cały, kłamała go i przed chwilą, a zapewne nabrała w tem niemałej wprawy, jeźli nikt, nawet matka, nie spostrzegł tego kłamstwa, nie krzyknął: „Na Boga, Maniutko, co tobie?"

Co jej jest? Jest oto nędzarką, żebrzącą jednego słowa, jednego spojrzenia, a to słowo i to spojrzenie odwracają się od niej, uciekają daleko, daleko, do... do tamtej!...

O! tamta, wczoraj, musiała niejedno takie spojrzenie widzieć, niejedno słowo z ust jego usłyszeć... musiała... musiała... była tak blizko... szli pod rękę... razem, razem!

To przecie można oszaleć!

A ona? ona? co dotąd zyskała?

O! nie tak wyobrażała sobie kochanie w swoich marzeniach. Miał to być sen jakiś rozkoszny, pełen kwiatów, gwiazd, blasków, woni i tajemniczych szeptów. Sen ten miał spłynąć na nią zwolna, spokojnie, z jej wiedzą i wolą, a jednak prawie bez jej udziału, i trwać już odtąd wieczność całą, niezamącony niczem.

Jakże marzenia te dalekiemi były od rzeczywistości! Bo oto, od paru miesięcy, od chwili owego pierwszego, przypadkowego spotkania, nie zaznała nic z owych rozkoszy, nic, prócz niepokoju, który dręczył ją dniem i nocą. On, ten wybrany, jedyny, zjawił się bez owego otoczenia gwiazd, blasków i woni wtedy, gdy wcale o kochaniu nie myślała, przybywał nawet nie do niej i nie jej szukał, spojrzał raz jeden i zabrał jej wszystkie myśli, jak swoję własność.

Daremnie oburzała się na to bezprawie, próżno wyśmiewała sama przed sobą te sny o nim, jakie ją odtąd poczęły nawiedzać. Uparte—wracały! Przez całe trzy miesiące upatrywała go w każdym młodym człowieku, który się przed jej oczyma przewinął. Zjawił się znów nareszcie i wtedy to przekonała się, że w tej grabieży jej myśli nic było bezprawia. Tak być musiało.

Z jakiemże drżeniem czekała jego zbliżenia wówczas, na cmentarzu! Zdawało jej się wtedy, że lata już całe go zna i nie znać dotąd nie mogła, bo nie mogłaby była przecie żyć, istnieć bez tej znajomości. Odwiedzając ich później, mógł był śmiało skorzystać z chwili, gdy byli sami, i powiedzieć jej: „Kocham!" Mógł był to powiedzieć, bo ona, choćby chciała się z nim podrożyć, musiałaby była odpowiedzieć mu na to: „I ja kocham, oddawna..."

Nic z tego się nie stało i to był jej pierwszy zawód. Dziś widzi, że stać się to wówczas nie mogło. Byłoby zawcześnie, ona samaby z radością była tę chwilę starała się odwlec, o tak! odwlokłaby z pewnością. Bo i w tem czekaniu, w tej nadziei było tyle rozkoszy!... O! był i ból, zawód, niepokój, ale była i rozkosz jakaś wielka, pociągająca swoją tajemniczością.

I to wszystko zburzył dopiero dzień wczorajszy. Jemu nie pilno było do niej. Musiał otulać tamtę panienkę, musiał tamtej towarzyszyć na spacerze... Powiedziała sobie to już raz i powtarza jeszcze, że może w tem nie należy upatrywać nic złego, może to zwykła znajomość. A jednak czuje, iż łzy cisną się jej do oczu, i dławią ją i duszą, odbierając nawet tę kruszynę szczęścia, jaka wczoraj jeszcze wypełniała jej serce.

Natrętne łzy! Ale nie pozwoli im popłynąć. Zdusi je, stłumi i będzie czekała cierpliwie... Czego?... Jakiejś wieści, złej lub dobrej, wszystko jedno, ale ta wieść musi jej przynieść wyjaśnienie tych wątpliwości, musi jej niepokój zażegnać, rozproszyć.

I czekała cierpliwie jeszcze całe dwa dni, siląc się na spokój i swobodę, z uporem, który ją zresztą zawsze cechował.

Pani Kamilla domyślała się, iż walka jakaś wewnętrzna stacza się teraz w sercu jej córki, milczała jednak, wiedząc, że wszelkie rady lub wnioski byłyby jeszcze zawczesne. Od czasu, jak Mania zdradziła się ze swem uczuciem i odkryła przed nią swe serce, stanął między niemi rodzaj niemego układu, mocą którego pani Kamilla uznawała niejako zamysły córki; nie chcąc kłaść im żadnej tamy. Nie miała nic przeciwko panu Konradowi, który i na niej zrobił jaknajlepsze wrażenie, nie widziała więc w tem wzrastającem uczuciu nic niepokojącego.

Mówiła sobie, że jeżeli to nie jest zwykła, przelotna mrzonka młodego serduszka, jeźli to uczucie okaże się trwałem, prawdziwem i rozwinie się w miłość, ona pierwsza bardzo się z tego ucieszy. Sama, przeszedłszy w zaraniu życia tak wiele i znalazłszy później szczęście prawdziwe tam, gdzie go się wcale znaleźć nie spodziewała, pragnęła pozostawić i Mani zupełną w wyborze swobodę. Nie myślała wprawdzie, aby wybór już tak prędko nastąpił, ale gdy się tak stało, należało teraz pozostawić rzeczy naturalnemu ich biegowi. Niestety, ten wybrany córki mógł już nie być wolnym i nie rozporządzać swem sercem, ale to nawet przez myśl pani Kamilli nie przeszło.

Uspokojona sama, starała się i na Manię oddziaływać tym swoim spokojem, a ponieważ pan Konrad od trzech dni nie dawał o sobie znaku życia, znalazła i w tym względzie dla niego wymówkę.

— Ach, to ta drażliwa sprawa tego spadku wstrzymuje go od odwiedzin u nas — mówiła, gdy się coś o tem zgadało. — Widzisz, obawia się, abyśmy go nie posądziły, iż pilno mu do tych pieniędzy. Odetchnę też sama, gdy to się załatwi, a musi się już teraz w paru dniach załatwić...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z DZIEDZINY NAUKI I WYNALAZKÓW.

Błąd pospolity w mowie i piśmie. — Obserwatoryum pod Nizzą. — Oznaczenie stron świata zapomocą zegarka. — Plony naukowe z wieży Eifla.—Śnieg w salonie. — Panorama. — Piła dyamentowa.

Darują mi szanowni czytelnicy, a „przedewszystkiem" (zapożyczam tego grzecznego przysłówka ze wstępu do odczytu J. M. Kamińskiego w sali ratuszowej) czytelniczki, że rozpoczynam dzisiejszą kronikę od zwrócenia ich uwagi na jeden z ciężkich grzechów przeciwko językowi i terminologii naukowej, jakiego dopuszczają się często nietylko już ludzie, którzy w swoim czasie uczyli się początków geometryi i fizyki, ale nawet pisarze, używający pewnego rozgłosu. Idzie mi tu o niewinny przymiotnik *„prostopadły,"* którego ci panowie używają bez ceremonii tam, gdzie się powinno mówić *„pionowy,"* i przez to wprowadzają zamęt i bałamuctwo do pojęć, o których mówią i piszą.

Prostopadłość jest-to pojęcie, zależące tylko od wzajemnego położenia względem siebie linij lub płaszczyzn, a zupełnie niezależne od ich położenia względem kuli ziemskiej. Linia prosta jest prostopadłą do drugiej, kiedy się do niej z obu stron równo nachyla, prostopadłą do płaszczyzny, kiedy jest do niej ze stron wszystkich nachylona jednakowo, przyczem położenie linii i płaszczyzny względem ziemi jest rzeczą zupełnie obojętną. Można ustawić pręcik prostopadle do podłogi pokoju, do jednej z jego ścian lub do jednej strony pochyłego dachu, ale zawsze musi on być prostopadły „do czegoś." Co innego zupełnie jest pojęcie kierunku pionowego, który możemy sobie ucieleśnić zapomocą swobodnie zwieszonej nitki, która jest jednym końcem stale do czegoś umocowaną, a na drugim ma uczepiony ciężarek. Nitka przyjmuje wtedy kierunek, w którym działa na ten ciężarek siła przyciągania ziemi, to jest kierunek pionowy, zlewający się w przybliżeniu z promieniem kuli ziemskiej w tem miejscu. W tym-to kierunku pionowym spadają swobodnie puszczone ciała; strona jego zwrócona ku ziemi zwie się *dołem*, a przeciwległa jej *górą*. Kierunek prostopadły do pionowego nazywa się *poziomym*; taki kierunek ma powierzchnia spokojnej wody w naczyniu, a w przybliżeniu powierzchnia podłogi lub sufitu w dobrze zbudowanym domu.

Jeszcze raz przepraszam za to, że ośmieliłem się tu określać pojęcia, należące do abecadła wiedzy; wiem że to niegrzecznie, cóż, kiedy, jak uczy doświadczenie, abecadło to komuś przydać się może.

* * *

Na górze Gros, wznoszącej się w najbliższem sąsiedztwie uroczej perły morza Śródziemnego, Nizzy, pod niebem prawie zawsze pogodnem i błękitnem, stanęło wciągu ostatnich lat jedenastu jedno z najlepiej urządzonych i najbogaciej wyposażonych obserwatoryów świata. A stanęło kosztem jednego tylko obywatela, rozumiejącego wagę badań naukowych i miłującego sławę i dobro swojej ojczyzny, kosztem znakomitego odtąd Francuza, Bischoffsheima.

Plac zakupiony pod budowlę zajmuje cały wierzchołek góry i ma 35 hektarów powierzchni (pół trzeciej włóki). Na tym placu wznosi się czternaście oddzielnych budynków, z których każdy ma specyalne przeznaczenie. Jeden mieści w sobie wielką lunetę równikową, dwa — lunety południkowe, jeden — małą równikową, jeden — pracownię spektroskopową, jeden—fizyczną, jeden—magnetyczną, jeden—bibliotekę, jeden—warsztaty i salę maszyn; w kilku innych są mieszkania astronomów, stajnia, wozownia, mieszkanie szwajcara i t. d.

Najważniejszym z tych gmachów jest pierwszy, zbudowany dla lunety równikowej, który z całem urządzeniem kosztował przeszło milion franków. Olbrzymia jego kopuła, o 24 metrach średnicy, zbudowana w warsztatach Eifla, spoczywa obwodem swojej podstawy na pierścieniowatym pływaku, unoszącym się na powierzchni wody, która wypełnia wielką skrzynię, mającą również postać pierścienia. Zapomocą takiego urządzenia, kopuła daje się poruszać bardzo łatwo, a podstawa jej zachowuje zawsze położenie poziome, co jest niezbędnem przy robieniu postrzeżeń.

Luneta ekwatoryalna ma 18 metrów długości, a jej soczewka przedmiotowa 76 centymetrów średnicy (blizko 32 cale).

Cała obsługa tego wspaniałego przybytku składa się z 26 osób, z których sześć stanowią właściwy personel naukowy.

Twórca obserwatoryum, Bischoffsheim, został zaproszony przez paryzką Akademią nauk do jej grona w charakterze wolnego akademika.

Czy i kiedy znajdą się u nas mecenasi, jeśli nie tej miary, to przynajmniej tegoż rodzaju?...

* * *

Zapomocą słońca i zwykłego kieszonkowego zegarka można bardzo łatwo i szybko oznaczyć strony świata, z dokładnością dostateczną dla potrzeb życia praktycznego. Oto najlepszy sposób postępowania. Stanąwszy tyłem do słońca, należy położyć zegarek na dłoni trzymanej poziomo, a następnie tak go wykręcić, aby kierunek skazówki godzinowej zeszedł się z kierunkiem cienia rzuconego przez nasze ciało na ziemię i aby ostrze skazówki było zwrócone ku tej stronie cienia, z której znajduje się jego głowa. Teraz potrzeba część obwodu tarczy zegarkowej, zawartą pomiędzy ostrzem skazówki godzinowej, a punktem oznaczonym liczbą XII, podzielić na dwie połowy, a punkt podziału będzie zwrócony wprost *ku północy*. Jeżeli na przykład jest godzina szósta (czy to rano, czy po południu) wtedy, ustawiwszy zegarek jak wskazano powyżej, znajdziemy północ w tej stronie widnokręgu, która odpowiada cyfrze III tarczy.

Teorya jest bardzo prosta. W samo południe cień nasz zwrócony jest ku północy, a następnie, wmiarę jak słońce w pozornym swoim biegu dziennym posuwa się od południa ku zachodowi, cień posuwa się w tymże samym kierunku, to jest od północy ku wschodowi. Gdyby słońce odbywało całą pozorną swoję drogę nad naszym poziomem, wtedy cień nasz obiegłby wciągu jednej doby, czyli w 24 godzin, raz jeden całe koło widnokręgu; w tymże czasie skazówka godzinowa obiegnie dwa razy obwód tarczy zegarka, zkąd wynika, że cień nasz przesuwa się z szybkością dwa razy mniejszą, niż szybkość skazówki. Przypuśćmy na przykład, że jest południe, że zatem cień pada ku prawdziwej północy, i ustawmy zegarek tak, aby ostrze skazówki a więc i cyfra XII zgodziły się z cieniem, a zatem także zwrócone ku północy.

O 3-ej, to jest w trzy godziny później, cień nasz przebiegnie tylko ósmą część koła, skazówka zaś posunie się o łuk dwa razy większy, a więc o czwartą część tarczy zegarka; chcąc zatem zgodzić ją z nowym kierunkiem z cienia, potrzeba tak wykręcić zegarek, aby cyfra XII na tarczy cofnęła się o ósmą część koła w stronę przeciwną względem swojego położenia w południe. Jeśli więc teraz łuk tarczy zawarty między nowym kierunkiem skazówki (więc i cienia), a nowem położeniem cyfry XII, podzielimy na dwie równe części, to środek tego łuku przypadnie w tym samym punkcie, na którym skazówka stała w południe, a więc wskaże nam prawdziwą północ.

Ściśle biorąc, podana metoda byłaby prawie zupełnie dokładną tylko na samych biegunach ziemi, wszakże i w naszych okolicach daje ona przez największą część roku wskazania przynajmniej tak dokładne, jak zwyczajny kieszonkowy kompas, a nawet lepsze, bo przy kompasie rozmaite przyczyny, jak na przykład stępienie ostrza, na którem osadzona jest igła magnesowa, utrata jej siły magnetycznej, wpływ sąsiednich przedmiotów żelaznych, wreszcie tak zwane zboczenia magnetyczne dają powód do grubych często omyłek. Ale około letniego przesilenia dnia z nocą, w miesiącach Czerwcu i Lipcu, wskazania są bardzo nieścisłe i błąd popełniony dochodzi około 30°. Można jednak i wtedy oznaczyć północ z należytą ścisłością, tylko potrzeba w tym celu zrobić dwie obserwacye, jednę przed, a drugą po południu, w czasach równo od niego oddalonych, na przykład o 8-ej rano i o 4-j wieczorem, i z dwóch znalezionych kierunków wyprowadzić średni, przez co popełnione błędy wyrównają się nawzajem.

W dzień pochmurny i w nocy oczywiście nie można tej metody stosować, chociaż w noc księżycową można słońce zastąpić przez księżyc, tylko potrzeba wiedzieć, o której godzinie i minucie tego dnia księżyc stoi najwyżej na niebie, to jest przechodzi przez południk, i tę godzinę użyć na zegarku zamiast cyfry XII.

(*Dokończenie nastąpi.*)

Korespondencja z Paryża literacka.

PRZEZ

Sewerynę Duchińską.

Na wzór starożytnego Rzymu, Paryż zapełnia się coraz bardziej posągami. Pełne ich skwery i ogrody publiczne. Popęd ten, tak pomyślny dla rzeźbiarzy, rozwinął się zwłaszcza w ostatnich latach. Jedni obracają to w śmieszność, utrzymując że kiedy żywi szarpią się nawzajem, zaprzeczają wszelkiej zasługi jedni drugim, potrzeba zamknąć oczy i spocząć pod murawą cmentarną, aby zdobyć poklask i uznanie. Inni, przeciwnie, w tych licznych pomnikach, jakby wyrastających zpod ziemi na placach i bulwarach, widzą dowód żywotności narodu, wymowną protestacyą przeciw realistycznym prądom, zasklepiającym myśl ludzką w samolubstwie i pogardzie wszelkich tradycyj.

Niektóre z tych nowo wystawionych pomników miłe wywołują wrażenia.

Z zajęciem przyglądamy się w luksemburskim ogrodzie rysom Eugeniusza Delacroix, słynnego malarza z pierwszej połowy bieżącego wieku, który otrząsnął sztukę z zapleśniałej rutyny klasycznej i nowe, pełne życia otworzył jej widnokręgi. Niemniej przyjemnie wpada w oczy pomnik Lafontaina, wzniesiony parę tygodni temu, popularnemu poecie przy wstępie do lasku bulońskiego. Inne tymczasem posągi budzą w nas wstręt i oburzenie. Takim jest pomnik Dantona, w którym republika uczciła świeżo pamięć krwawego terrorysty. Wiadomo, że Danton raził szpetną powierzchownością; rzeźbiarz, zawzięty realista, trzymał się najściślej prawdy. Nie sharmonizował rysów, pozostawił nawet na policzkach głębokie szwy i jamy spowodowane ospą. Obok głównej postaci umieścił dwóch ochotników, przedstawiających narodową obronę. Danton wyciąga rękę, jak gdyby wołał: naprzód wiara!

Inny, niemniej wstrętny pomnik, wyobraża Etiena Marcel, burmistrza paryzkiego z XV-go wieku.

Wobec dzisiejszych pojęć, zdrajca został bohaterem. Nienawistny królowi swemu, otworzył bramy miasta oblegającym je Hiszpanom. W chwili, gdy nieprzyjaciel wchodził tryumfalnie, Marcel padł pod żelazem zrozpaczonych Paryżan. Dzisiejszy magistrat uczcił zdrajcę pomnikiem!

Uwieńczeniem tych niedorzeczności będzie pomnik dla Robespierra. Jeśli dojdzie do skutku myśl podniesiona, zwolennicy wielkiej rewolucyi chcą tą apoteozą pomścić głośny dramat „Thermidor,” w którym Sardou pokazał w całej ohydzie tę odrażającą postać.

Ale rzućmy okiem na pomnik Lafontaina, odkryty świeżo przy gorącym poklasku tłumów. Długo słynny bajkopisarz czekał na ten hołd, słusznie mu się należący. Dwieście lat upłynęło od daty jego skonu, ale pamięć jego tak żywo przechowana, bajki jego tak popularne, tyle z nich potworzono przysłów, że pomnik zdawał się zbytecznym, aby rozbudzać niezagasłe wspomnienie. Paryżanie pomyśleli jednak o tym hołdzie, złożyli gorączkowo 50-siąt tysięcy franków, powierzyli pracę biegłemu rzeźbiarzowi Dumilatre, który wybornie wywiązał się z zadania. Widzimy kolosalne popiersie poety, ulane ze spiżu, w utrefionej peruce z epoki Ludwika XIV, wpośród ulubionych mu zwierząt. Ogromny lew czuwa naboku, podczas gdy z drugiej strony skrzydlata Chwała wieńczy głowę Lafontaina wawrzynem. Ważna rola przypadła też lisowi; przyczajony na stopniach piedestału, przymila się do kruka siedzącego powyżej z serem w dziobie, który, odurzony sypanemi sobie pochwałami, gotów go oddać bezmyślnie na łup pochlebcy.

Przy uroczystem odkryciu pomnika, prezydował Sully Prudhomme, zajmujący dziś to samo krzesło, w którem dwa wieki temu zasiadał Lafontaine. Nazwał go najżywotniejszym wyrazem geniuszu francuzkiego, tak ściśle narodowym, że przez to samo staje się niezrozumiałym dla cudzoziemców. Zdaniem naszem sąd to zupełnie mylny. Bajki Lafontaina, brane żywcem z przyrody, wypowiedziane jasno, poprostu, stokroć dostępniejsze dla wszystkich, niż filozoficzne poemata Sully Prudhom'a, podnoszące do apoteozy pesymizm, jak to widzimy w ostatnim utworze pod tytułem „Szczęście,” w którym pokazuje szczyt pomyślności ludzkiej w zupełnem unicestwieniu.

Że cudzoziemcy rozumieją Lafontaina, dowód na to że go tłómaczono na wszystkie europejskie języki. Jeśli przekłady polskie nie stały się popularnemi, przyczyna leży w tem, że mamy bajki Krasickiego, nieustępujące lafontenowskim w trafności spostrzeżeń, w dowcipie, a przechodzące je nawet nieporównaną ścisłością.

* *

Pisma tutejsze ogłosiły w tych dniach korespondencyą jednej z autorek, pani Gagneur, z Akademią francuzką. Wiadomo, że z obowiązku swego to ciało naukowe pracuje bez ustanku nad słownikiem. Co ukończy jedno wydanie, natychmiast drugie rozpoczyna, wprowadzając do słownika swego nowo utworzone lub wznowione wyrazy, które osądzi za właściwe.

Obecnie jest przy końcu litery *A*. Otóż pani Gagneur domaga się wprowadzenia wyrazu *autorka*, nieprzyjętego wcale w języku francuzkim, a zastąpionego określeniem *femme auteur*. Brak ten świadczy wistocie o ubóstwie francuzkiego języka. To samo co dotyczy autorki, stosuje się zarówno do malarki, rzeźbiarki, doktorki, poetki, koleżanki i wielu innych kwalifikacyj, tak wybornie odróżnionych w naszej mowie.

Na to wezwanie dwóch tylko akademików nadesłało odpowiedź, inni bowiem opuścili Paryż na la-

to. Marade odpowiada, że są wyrazy rażące ucho, których unikać należy, a same kobiety żądaćby ich nie powinny, jako sprzecznych ze smakiem estetycznym. Do takich należałby wyraz *autoresse*. Co więcej, mówi akademik, zawód pisarski nie jest dla kobiety, żadna nie obiera go naprzód, niekiedy talent popycha ją na drogę literacką, ale to stanowi wyjątek. Byłoby zbytecznem tworzyć nowe wyrazy dla wyjątków.

Nie wchodząc w to, czy wyraz nowy ma racyą bytu, zapytalibyśmy tylko akademika, czy literatura straciłaby coś na tem, gdyby ci wszyscy, którym służy uprzywilejowany tytuł *autora*, nie obierali naprzód zawodu pisarskiego, ale czekali aż talent popchnie ich na literacką drogę?

Drugi akademik, poeta Lecomte de Lisle, inne znowu stawia przeszkody.

„Akademia, mówi on, przyjmuje tylko utarte wyrazy, lecz ich sama nie tworzy. Niech pani Gagneur obmyśli odpowiednie nazwy dla kobiet, poświęcających się rozmaitym zawodom, niech je puści w obieg, a skoro je przyjmą pisarze i uświęci opinia publiczna, wtedy Akademia pójdzie wskazanym torem. Nim to nastąpi, Lecomte de Lisle radzi pisać: *ta autor, ta doktór, ta malarz* i t. p., co pofrancuzku mniej dziwacznie brzmi, niżli w języku naszym.

* * *

Jeśli niektóre kobiety francuzkie występują śmiało do walki w obronie praw swoich, a tem samem wywołują upokarzającą odpowiedź, inne zato, a takich niebrak w tym błyskotliwym i gwarliwym Paryżu, spełniają bez rozgłosu czyny miłosierdzia, posunięte do bohaterskiej ofiary. Kilka tygodni temu, mieliśmy nowy ten przykład na ubogiem przedmieściu paryzkiem *Levallois Perret*, zamieszkałem przez robotniczą ludność. Istnieje tam pod cieniem fortyfikacyi szpital na pięćdziesięciu chorych. Założyli go niedawno dwaj pobożni księża, za fundusz zebrany na jego utrzymanie. Dominikanki obsługują ten szpital zwany *du perpétuel secours* (bezustannego ratunku).

W zeszłym miesiącu umieszczono tam czteroletniego chłopczynę z okropną raną poniżej ramienia. Chirurg po wysądowaniu rany uznał potrzebę amputacyi. Siostry zadrżały: ręka odjęta ubogiemu dziecku, to wyrok przyszłej nędzy i żebractwa.

— Byłby jedyny sposób — rzecze chirurg, — może mątka spełni ofiarę.

Ale matka daleko, a czas nagli, chwili czekać nie można.

— Jakiejże potrzeba ofiary? zapytują siostry jednomyślnie.

— Potrzeba — odrzecze chirurg, — wyciąć głęboko ranę i próżne miejsce zapełnić zdrowem ciałem. Ktoż się poświęci na to?

Wszystkie siostry oświadczają gotowość do ofiary. Zdumiony chirurg wybiera z nich najsilniejszą siostrę Cecylią, przykłada jej skalpel poniżej ramienia, wycina zdrowe ciało.

Chłopiec, skazany na wieczne kalectwo, powraca dziś do zdrowia. Pisma tutejsze rozgłosiły czyn bohaterskiego poświęcenia.

Niejeden przykład równej doniosłości przytoczyć można we Francyi. „Towarzystwo zachęty do dobrego" na ostatniem, dorocznem zebraniu, ofiarowało zaszczytne korony dwom siostrom miłosierdzia. Jedna z nich Marya Teresa, pielęgnuje w Tonkinie chorych żołnierzy z niezmordowaną gorliwością, mimo późnego wieku. Ranna niegdyś w bitwie pod Magenta, następnie w ostatniej wojnie pod Reichshoffen, otrzymała przed laty dwudziestu krzyż legii honorowej.

Przysądzono takąż nagrodę siostrze Gabryeli która przez lat pięćdziesiąt obsługiwała szpital wojskowy w Saint Denis.

JESZCZE NIEWIASTY.

(Dokończenie.)

Notując nazwiska kobiet, które dostąpiły zaszczytnych odznaczeń, jakże przyjemnie wymienić rodaczkę.

Niedawno pisma codzienne doniosły, że pani Marya Makowska, dyrektorka oddziału dziewcząt w lwowskim zakładzie ociemniałych, otrzymała złoty krzyż zasługi.

Tu już zapewne nie studya naukowe, nie zdobycze wiedzy, ale działalność pedagogiczna zyskała uznanie sfer kompetentnych. Na stanowisku, jakie pani M. zajmuje, potrzeba niesłychanej słodyczy, poświęcenia i prawdziwej wyższości umysłowej, aby w zaszczytny sposób wywiązać się z zadania i zyskać poklask za swoję pracę.

To w wyższej wierze zasługa pięknego charakteru, co wogóle w ludziach, a tembardziej w kobiecie, stanowi istotną wartość moralną.

„Coś się zepsuło w państwie duńskiem" — powiedział sceptyczny Hamlet. — Coś się zepsuło na całym świecie, można śmiało głosić.

Oto ostatni spis ludności, dokonany w Wielkiej Brytanii, wykazał, że liczba kobiet w Anglii i Walii przenosi liczbę mężczyzn ni mniej, ni więcej, jak o 900,000! W Szkocyi i Irlandyi nie lepiej się dzieje.

Co tu robić, co robić biednym niewiastom?... Poprostu włosy na głowie powstają. Ileż to starych panien, ile kobiet zmuszonych do pracy na chleb powszedni, pozbawionych opiekunów, kochanków i mężów—krytyków nigdy im nie zbraknie!...

Przyczyną tych anormalnych stosunków jest, według opinii pism angielskich, emigracya, w której daleko liczniejszy biorą udział mężczyźni, niż kobiety.

Taki stan rzeczy jest przyczyną, że równouprawnienie kobiet na polu pracy zarobkowej wzrasta niezmiernie szybko. Posady w kantorach i sklepach są obecnie prawie wyłącznie zajmowane tam przez niewiasty. I niejeden filister, co krytykował zawzięcie ideę emancypacyi kobiet, w braku sił roboczych męzkich, zrzucił pychę z serca i wezwał do objęcia posady w swym sklepie kobietę, mówiąc sobie: na bezrybiu i rak ryba!

Łatwość zarobku wzrosła tedy dla niewiast, łaknących pracy w Wielkiej Brytanii, ale procent szczęśliwych rozpaczliwie się zmniejsza. Bo, niech co chce będzie, życie rodzinne i *posada* żony (ale koniecznie bardzo kochanej), to najświetniejsza karyera niewiasty po wszystkie wieki.

Z drugiej strony Anglia, to Eldorado kobiet, chciwych wiedzy. Istnieje tam w tej chwili *sześć* uniwersytetów żeńskich, z których dotychczas wyszła niejedna chluba nauki rodzaju żeńskiego.

Najmłodszy z tych przybytków wyższej wiedzy, Hollovay, powstały w roku 1887, jeszcze dotąd nie posiada normalnej cyfry słuchaczek. Mieści się on w starożytnym zamku i urządzony z wielkim przepychem, usposabia raczej do marzeń poetycznych, niż do poważnych studyów. O godzinę drogi od Londynu, leży w hrabstwie Surrey i przedstawia się oczom turysty, jako czworokątny gmach z czerwonej cegły, z wieżami po rogach. Dokoła przepyszny park z mnóstwem pięknych alej, starożytnych dębów i kasztanów. Wewnętrzne urządzenie odpowiada wrażeniu, jakie z oddali wywołuje zamek, posiadający niezliczoną liczbę okien, korytarzy wysłanych dywanami, dziedzińców, galeryj i t. d. Olbrzymie sale bogato umeblowane, o obfitem oświetleniu, wyborne powietrze, uroczyste obiady w sali rycerskiej, jednem słowem otoczenie i cały tryb życia w najwyższym stopniu podnoszące umysł, może w wyższej mierze działają na fantazyą, niż dopomagają ścisłym badaniom naukowym.

Mój Boże! i pomyśleć sobie, czemu to los tak nierówno ludzi obdarza. Jedni mają zawiele, a drudzy nic wcale! Żeby to u nas choć próba, choć imitacya jakich kursów wyższych dla kobiet!... Nic, nic zgoła, tylko na nas krzyczą!...

Czy kobiety mogą być marynarzami?...

Pod tym sensacyjnym tytułem londyńska „Pall Mall Gazette" drukowała artykuł, pisany przez doświadczonego marynarza, który twierdzi, że odnośnie do samej nawigacyi okrętu niema żadnej racyi, żeby kobiety nie mogły dokonać tego samego, co mężczyźni.

„Wiadoma rzecz—mówi zawsze marynarz, — że żony kapitanów nieraz lepiej umieją się obchodzić z przyborami żeglarskiemi, niż ich mężowie, a niedawno temu pewna pani z odznaczeniem ukończyła szkołę marynarską."

Praca na pokładzie okrętu nie jest wcale ciężka i raczej wymaga zręczności, niż siły. Ładowanie i wyładowywanie towarów, stanowiące istotnie ciężką pracę, nie należy do czynności marynarzy. A dlaczegóżby kobiety nie mogły wchodzić na maszty? Przecież w zakładach gimnastycznych uczennice wykonywają ćwiczenia, któreby zdumiały niejednego wytrawnego marynarza.

Autor artykułu proponuje na początek, aby zbudować okręt szkolny, gdzieby kobiety, pragnące się poświęcić żeglarstwu, odbywały kursa przygotowawcze, a przytem we wszystkich portach urządzić osobną przystań dla okrętów z załogą kobiecą.

I co jeszcze zachęcającego dodaje na końcu ów postępowy wilk morski, oto że kobiety, poświęcające się stanowi marynarskiemu, nie tracą wcale widoków wyjścia zamąż. Przeciwnie! Świeże, morskie powietrze, prosta praca, czynne życie dodałyby wdzięku nawet mniej powabnym przedstawicielkom płci nadobnej, a czyniąc z każdej typ zdrowia i świeżości, ułatwiłyby jej tem samem podbicie serca jakiego niezwyciężonego pana stworzenia.

Prus wyśmiał już cały ten projekt w jednej ze swych kronik.

Paryzki „Gil Blas" postawił w swych szpaltach niedawno pytanie: „Jaki wpływ wywiera kobieta na działalność literacką autorów?"

Rozumie się, że kwestya wywołała mnóstwo odpowiedzi ze świata literackiego. Niektórzy pisarze utrzymują, że miłość, jako czynnik dodatni, znakomicie pomaga twórczości autorskiej. Inni zaś są zdania Balzac'a, który twierdził, iż każda godzina, poświęcona miłości, wynosi stratę jednej nowej stronicy.

Fr. Coppé odpowiada temi słowy: „Jako kawaler, uważam pytanie panów za zbyt drastyczne. Ponieważ jednak dźwigam już piąty krzyżyk, czynicie mi panowie przykrość podobnem pytaniem. Wybaczycie zatem, że wstrzymam się od odpowiedzi;

nie mogę jednak pominąć zdania Balzac'a, który, jako człowiek genialny, ma wiele racyi, odmawiając miłości znaczenia, jakie jej przypisuje ogół pisarzów."

Jul. Claretie nadesłał następującą odpowiedź:

„Pytanie panów, aczkolwiek nieskromne (!), budzi jednak pewien interes. O miłości można powiedzieć to samo, co powiedziano o kobiecie: daje natchnienie do wielkich dzieł, lecz jednocześnie przeszkadza ich ukończeniu. Bądźcobądź, miłość jest czynnikiem nader użytecznym dla romantyka, dramaturga i poety. Przypuszczam nawet, iż ona jedynie daje bodźca do tworzenia wielkich dzieł!"

Pani Adam, redaktorka „Nouvelle-Revue", otrzymawszy również powyższe pytanie, nie nadesłała kategorycznej odpowiedzi, z tej racyi, jak pisze, że ono dotyczy wyłącznie autorów-mężczyzn. „Podobne pytanie—dodaje jednak była przyjaciółka Gambetty, — powinno każdego zainteresować."

Jeżeli można wtrącić swój głos nieśmiały po przytoczeniu opinii potentatów francuzkiego Parnasu, pozwolę sobie nadmienić, że przecież to rzecz znana i uznana, iż wpływ kobiet szlachetnych i rozumnych, wpływ matek, żon i kochanek zawsze podnosi moralnie mężczyznę, czyni go lepszym i daje mu szczęście w poczuciu, że jest kochanym. Jak w życiu, tak i na polu twórczości literackiej wpływ ten jest potężnym czynnikiem. A że cierpienie wysubtelnia i podnosi, niejako uszlachetnia duszę, więc arcydzieła poezyi zawdzięcza ludzkość kobiecie.

Bez pierwiastku bowiem miłości byłyby one suchemi traktatami w samej gałęzi wiedzy, dziełami opisowemi, lub rozprawami na temat społeczny.

Gdyby nie miłość, Mickiewicz możeby nie stworzył „Dziadów," „Beniowski" w setnej nawet części nie robiłby tego porywającego wrażenia smutku, tęsknoty i rzewności, a potwierdzeniem zdania mojego, że cierpienie rozwija i podnosi twórczość poetycką, jest wykrzyknik Słowackiego w wymienionym wyżej poemacie, do ukochanej, Ludwiki Śniadeckiej:

„Ty wiesz, jak muszę cierpieć, abym śpiewał!..."

Miłość, to natchnienie, to szczęście, bodziec do czynu, wypełnia po brzegi gorzką czarę życia i jest motorem, poruszającym świat cały!

Płoszowski Sienkiewicza, obdarzony inteligencyą, szlachetnym chakterem, wielkim majątkiem, posiadający wszystko, co życiu urok nadaje, rzuca to wszystko i odchodzi w byt zaświatowy, gdy mu kobiety ukochanej zbrakło...

Poczwarka.

ŻAŁOBNIK.

PRZEZ

A. Juliana Perry.

PRZEKŁAD

T. Prażmowskiej.

Szczegółowo obejrzawszy każdy zakątek licznych budowli, przybyli zatrzymali się u wejścia do obszernego, powodzią blasków słonecznych zalanego ogrodu, który, górując swem położeniem nad białem miasteczkiem, strojnem w wesołą czerwień dachówek, zbiegał ku równinie kilkoma tarasami kwiecistemi.

Ponieważ południowa to była pora, drzemali przeto pensyonarze i pustkami stał ogród. Rzekłbyś, że niema nikogo w całym gmachu, gdyby od czasu do czasu jęk skargi lub dziki krzyk, odzywający się ze skrzydła przeznaczonego dla furyatów, nie mąciły spokoju i ciszy.

Po pustym ogrodzie, pod palącym słońca żarem, przechadzał się sam jeden czarno odziany mężczyzna, z wysokim cylindrem w ręku.

— Odważny zuch jakiś, nie boi się porażenia słonecznego! Gdybyś kazał mu wrócić do pokoju, doktorze? — odezwał się prefekt, niedawno w te strony przybyły, któremu dyrektor i lekarz domu obłąkanych pokazywali cały zakład.

— Komu? To żałobnik! Nieborak... Ani myślę, to jedyna jego mania; sprzeciwienie mu się byłoby rzeczą daleko niebezpieczniejszą dla niego. W pierwszych dniach jego pobytu (który trwa już od dwóch lat), chciano mu wzbronić tych przechadzek, które odbywa bez względu na pogodę i porę roku, a była to właśnie ciężka zima. Ale cóż? trzeba było uciec się do kaftana. Przyszło mi na myśl nie sprzeciwiać mu się i od tej pory, byle mu tylko codzień w południe pozwolono ustroić się we frak, w biały krawat, w cylinder i przechadzać się z godzinę po tej kwaterze ogrodu, łagodny jest jak dziecko.

— Chodzi tylko, nic więcej nie robiąc?

— Grzebie umarłych swoich.

— A! dlatego nazwałeś go pan żałobnikiem.

— Taki mu dano przydomek, z zawodu jest bowiem muzykiem. Niezdrowe to dla mózgu zajęcie— kiwając głową, dodał doktór.

Teraz wdał się w rozmowę dyrektor.

— Paryżaninem pan jesteś, powinieneś więc znać go choćby z nazwiska. To ten sam, którego operę komiczną „Gwiazdy," utwór cudnej piękności, wznowiono przeszłej zimy.

— Jakto!—żywo odkrzyknął się prefekt,— X...? tutaj! Ależ znam go, spotykałem go parę lat temu w Paryżu. Nadzwyczaj miły, wyższy prawdziwie umysł, a taki przytem dowcipny! Jakto! Więc to on? Myślałem że już nie żyje!

— Wyzdrowiał... obłąkanym.

— Czekaj pan... Coś mi się przypomina... Samobójstwo, czy coś podobnego? nigdym nie wiedział napewno.

— Niewesoła historya — mruknął doktór.

— Czy pan myślisz, że mnie pozna?

— Spróbujmy!

I wciąż rozmawiając, zbliżali się trzej mężczyźni do obłąkanego zatopionego w swojej przechadzce, którą często przerywając, zatrzymywał się na długą chwilę, w postawie naprzód pochylonej.

Pozostawiając towarzyszy za sobą, zbliżył się doktór do niego:

— X...! — zaczął półgłosem, dotykając ramienia muzyka, by ściągnąć na siebie jego uwagę, — oto są osoby, które zaprosiłeś pan na pogrzeb. Może je przywitasz?

Obłąkany podniósł głowę niewielką, niezwykle kształtną, odznaczającą się inteligencyą wyrytą na czole, pięknością oczu pełnych blasku i słodyczy, oraz półuśmiechem jakimś, jakby zapomnianym w lewym kącie ust, którym nadawał wyraz boleści rozdzierającej. Włosy, starsze od twarzy, siwieć mu już zaczynały na dobre, mógł mieć jednak najwyżej lat koło czterdziestu.

Na zadane przez doktora pytanie, odpowiedział przyzwalająco i ze spuszczonemi oczami stanął na boku alei, wolne czyniąc miejsce gościom swoim. Na znak dany przez doktora, zbliżył się prefekt do niego.

— Kogo chowa? — cichym głosem zapytał.

— Sam to panu powie.

Prefekt zdjął kapelusz i, ujmując dłoń artysty, którą z mimowolnem wzruszeniem uścisnął, rzekł.

— Pragnąłem złożyć panu ten dowód przyjaźni, kochany panie X..., jestem Paweł Drouet, jeden z wielkich pana wielbicieli. Czy mnie pan poznajesz?

Obłąkany wpatrywał się w niego uparcie. Po chwili milczenia, jakby tylko słyszał pierwszą część słów prefekta, odparł głosem cichym i znużonym:

— Ceremonia trochę się przeciągnie, cztery osoby odrazu, to dużo, dużo. Proszę pana za sobą... Mowa będzie nad pierwszym grobem... widzisz pan trumnę? W trumnie umarły leży, miłość braci moich.

Umilkł, słuchać się zdawał... Potem, dalej przeszedłszy kroków parę:

— A w tej oto trumnie miłość mego syna... Nie będzie nad trumną jego mowy... Zamłody był...

Znowu mówić przestał na chwilę i przechadzkę swą w kółko rozpoczął.

— Słyszysz pan? — rzekł nagle z ekstatycznym wyrazem twarzy. — Sprowadziłem ogromne organy... to, co grają, mojego jest układu. A ta trumna, bielutka cała, ta trumna, którą teraz do grobu spuszczają to... — i głos mu drzeć i łamać się zaczął, — to miłość żony mojej.

Na chwil parę ukląkł na brzegu grządki, na której dwie kępy malw różowych strzelały wgórę kiściami kwiecia, brzęczącego złotej pszczoły kapelą, potem znowu przechadzkę swą nieustanną rozpoczął. Ale odszedłszy o parę kroków od malw, obrócił się, ostrożnie obejrzał się naokoło siebie i nachylając się do prefekta, który mu się przyglądał z uwagą, śmiać się zaczął pocichu:

— Wiesz pan? w tych wszystkich trumnach niema nic... nic zupełnie... Wszystko to słowa tylko, słowa, słowa!

I śmiać się przestając, znowu chodzić zaczynał, wciąż powtarzając bez końca:

— Słowa, tylko słowa! słowa... słowa...

Na końcu alei rosła wierzba, przy niej zatrzymał się nagle i w dłoni swojej cisnąc rękę towarzysza:

— Cicho! — szepnął rozkazująco.

Męką niewypowiedzianą kurczyła się twarz jego, rozszerzały się źrenice utkwione w maleńki kawałek ziemi, na którą padał cień wierzby, przyśpieszonym oddechem podnosiła się coraz szybciej pierś jego, aż wreszcie wstrząsnęło nim łkanie głośne.

— Dół!... widzisz jaki głęboki? widzisz? w tym dole serce grzebią moje... Nie umarło... zasnęło tylko... prędko, prędko zabiłem wieko gwoździami i kazałem serce wynieść z domu. A!... a!... a!

Krzykiem już były ostatnie słowa jego i zgłoski i rękami, drżącemi z przestrachu, robiąc ruch taki, jakby coś odpychać chciał od siebie, jęczał.

— Ziemi... przyrzućcie ziemi!... jeszcze... jeszcze... Ziemi więcej!... uciekać chce serce z trumny!... Ziemi... więcej... jeszcze więcej!

Łzy potokiem płynęły mu po twarzy. Potem ręce zmęczeniem bezwładne opuścił, pierś szybkim oddechem dysząca, spokojniej podnosić się zaczęła, i westchnąwszy głęboko, bez najmniejszego śladu wzruszenia, równym, powolnym krokiem, podszedł ku pozostałym u wejścia do alei. Przystanął, wyprostował się i rękę wyciągnął do prefekta.

Inny był to człowiek w tej chwili; postawa odzyskała wrodzoną jej wytworność układu, twarz pogodną otwartość i myślący swój wyraz. Wyglądał na trzydzieści lat zaledwie, obłąkanie ustąpiło bez śladu.

— Dziękuję panu — uprzejmie odezwał się do prefekta.

Wzruszeniem [illegible] przekonany że cud się w jego oczach dopełnia, młody człowiek pochwycił dłoń artysty.

— Panie X...! drogi panie X...!

Ale urwał, bo oto znowu obłąkanego miał przed sobą. Dusza znowu w pomroku noc czarną zapadła, pochyliły się plecy, spojrzenie pewność straciło, na ustach znowu usiadł ów półuśmiech od łez boleśniejszy.

— Okropna rzecz! — szepnął prefekt, łącząc się z towarzyszami, z którymi zaczął iść w stronę zakładu.

— Jest więc dotego jakaś historya?

* * *

— Niewesoła! — powtórzył doktór, — a przecież bardzo prosta. Albert X. był trzecim dzieckiem bogatego właściciela okrętów, który nagle skończył w przeddzień niechybnej ruiny majątkowej, zostawiwszy młodą żonę, mającą za dwa miesiące zostać matką po raz czwarty. Szczątki ocalone z rozbicia ogromnej fortuny męża i posag młodej kobiety, ostrożnie intercyzą ubezpieczony, stanowiły odtąd całe mienie osieroconej rodziny, którą wkrótce powiększyła córeczka, źródło łez wielu, przedmiot ubóstwienia bezmiary.

Dzieci podrastały zwolna; starszy ulubieniec matki, widzącej już w nim mężczyznę, który jej męża nieobecnego przypominał, bardzo zresztą samowolny, bardzo wolę swoję narzucający, troskę może samolub; średni, kawałek urwisa, niezły zresztą chłopak, zawsze niesforny, zadłużony, zawsze łajany i zawsze także przebaczenie otrzymujący; córeczka bożyszcze domu, do pieszczot i hołdów zrodzona, dogadzaniem najmniejszym zachciankom psuta, a wśród nich trojga Albert czwarty, wiekuiście na klęczkach przed tem trojgiem tyranów, którym za psa podwórzowego służył.

— Dziecko moje, uważam cię jakby za samę siebie — mawiała mu matka, gdy maleńkim jeszcze będąc, uśmiechem odpłacał przewodzącym nad nim malcom.

I oddawał Albert zabawki, czuwał nad drobiazgiem, powagą miarkując dziecięcą swoję wesołość, od matki samej troskliwszy i łagodniej pobłażający, niż ona...

Dziewiętnasty rok miał zaledwie, gdy ukradkiem bił się na pałasze ze znacznie starszym od siebie kolegą, który pozwolił sobie drwić ze starszego brata.

Zaczynał dwudziesty trzeci, gdy siostrze trafiała się niezła partya, wobec czego rzekła mu matka:

— A jeżeli nie przyjdzie do skutku? taki mały dajemy posażek. Niewiele mam, a czworo was do podziału.

— Daj jej, matko, część moję — odparł, całując ją syn najmłodszy, — mnie praca moja wystarczy. Ale nie mów jej tego, mateczko, odmówićby pewno gotowa.

Siostra ta kochała go bardzo!

Tegoż samego roku przybiegł do niego brat średni, nieprzytomny prawie ze wzruszenia:

— Przegrałem w klubie... Dziesięć tysięcy franków płacić mam jutro, a grosza nie mam. Zabiję się.

— Głupi jesteś, choć duży! — odparł Albert.

Biegał niezmordowanie dzień cały. Koło dziewiątej wieczorem powrócił wreszcie zziajany.

— Masz! — powiedział bratu.

Sprzedał wszystko co posiadał, kawałeczek gruntu, pozostały z ojcowskiego spadku, książki swoje, broń, przedmioty sztuki, wszystko.

Pustkami stała kasa, pustką świeciły ściany jego izdebki, ale dziesięć tysięcy franków miał co do grosza.

Położyła się matka na sen wieczny, Albert, we łzach cały, okrywając pocałunkami zimne ręce, które go maleńkim niegdyś, pieściły, pocichu jeszcze coś mówił umarłej. W przyległym pokoju odbywała się likwidacya funduszów rodziny. Przywołano go, obecność jego potrzebną tam była. Wielki zawód! majątek pozostały po nieboszczce wynosił zaledwie trzecią część tego, co znaleźć się spodziewano; zresztą nic, ani książek rachunkowych, ani czarno na białem istotnego stanu majątku. Nic, prócz butelki atramentu!

— Siostra moja dostała sześćdziesiąt tysięcy franków — odezwał się najstarszy, — było zatem po sześćdziesiąt tysięcy franków dla każdego z nas.

— Albert zapłacił za brata dziesięć tysięcy franków; zkądże je wziął? Nie żył przecie powietrzem — dodał szwagier, obawą o posag żony przejęty.

— Posprzedawał mnóstwo rzeczy — podsunął brat średni, zawsze bez grosza w kieszeni, — wszystko to należy do sukcesyi.

Zdumiony, osłupiały, Albert chciał powiedzieć, że własną schedą podwoił sumę przypadającej na siostrę schedy, że to, co sprzedał, było osobistą jego własnością; on sam potrzebował tak mało!

— A gdzie dowód na to? Dlaczego nie zapisano?

— Wiedziała o tem matka nasza.

— Umarli nie mówią, a choćby nawet przemówiła! Nie byłże Albert powiernikiem jej, ulubieńcem?

— Wiesz przecie, żem nie dla ciebie to robił — rzekł do brata średniego.

— Więcej dostawałeś snać od matki, a zatem słusznie mi się to należało od ciebie.

Powrócił do zwłok matki, które za chwilę już z domu wynosić miano.

— Matko! zabierz i mnie z sobą, matko! — szeptał z rwącem się z bólu sercem, — ty wiesz przecie o wszystkiem... wiesz dobrze!

I uciekł, uciekł przed ścigającemi go głosami niewdzięczności i sądów niesprawiedliwych.

— Matka sprzyjała mu ze szkodą tamtych — opowiadała rodzina zięcia. — Wszystkich oszukał i obdarł rodzeństwo.

Odtąd widywać się z nimi przestał. Jak on ich jednak kochał!

* * *

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z TYGODNIA

Najważniejsza dzisiaj *kwestya*, to pytanie, co się robić będzie z żytem, wskutek zakazu wywożenia go za granicę? A z niej idą pytania: czy żyto utrzyma się w cenie, która opłaci produkcyą, czy zostanie wykupione na rzecz tych okolic, w których plon jego zawiódł, i czy wreszcie wobec niemożności wywozu nie nagromadzi go się tyle na miejscu, że będzie na podobieństwo owej wiązki siana, której się samemu nie je w potrzebie, ale innym się go nie daje?

Ma się rozumieć, że na wszystkie te pytania odpowiedziały już dosyć stanowczo żniwa, dając żyta tyle, iż ze zbytem jego kłopotu być nie może.

Wystarczy go na potrzebę własną i zbędzie coś tam jeszcze, ale tak chyba mało, że na tem żadnej fortuny nie zbuduje nikt. To, co miało dać rezultaty średnie, wskutek niepogody, moknięcia i trudnych zbiorów dało liche. Zaraz też pierwszem, bezpośredniem następstwem jest zdrożenie chleba o grosz na funcie, co stanowi rzecz niesłychaną w porze początkowego użytkowania z nowego ziarna. A pomimo zakazu wywożenia go za granicę, młynarze i piekarze miejscowi zawczasu kręcą się o ziarno, z niepokojem pytając dostawców, co będzie? I to przecież symptom przyszłego podniesienia się cen, o którym pamiętać należy.

Kto może, niechaj czeka! Cierpliwość opłaca się niekiedy sowicie.

Czeka też jeden z moich znajomych na pogodę i na możność zamieszkania na wsi, gdzie od Maja przygotował sobie śliczny lokalik. Ale czeka napróżno! Siły jego cierpliwości wyczerpały się do dna; rezolutnie też postanowił bądźcobądź w zeszłą niedzielę puścić się na owe letnie mieszkanie. A tu, jak na żarty, kiedy wyszedł z domu i wsiadł w dorożkę, poczęło mu się z nieba lać za kołnierz tak gwałtownie, iż nie wypadało zrobić nic innego, jeno czemprędzej wracać. Ba — deszcz, grad, wicher, burza, błyskawice, pioruny! — wszystko razem, niby szumny, huczny finał uwertury, która nam przygrywa od dwóch miesięcy. A po tym finale uwertura *da capo*... aż do znudzenia.

— Doprawdy, mamy bardzo łagodną zimę! — zaopiniował pewien dowcipniś, okrywając troskliwie swoje zgrabne nóżki pledem. Było to podczas powrotu z jakiejś majówki. — O tak, mamy zimę łagodną!

Ta „łagodna" zima sprawia, że ludzie nie bywają pewni następnego kwadransa, bo bywa tak codziennie, że z pogodnego w tej chwili nieba za pięć minut strumienie wody leją. Słońce bawi się ciągle w chowanego, a to tak bardzo dokucza istotom żyjącym, że wolą siedzieć w czterech ścianach, niż szukać świeżego powietrza. Nigdy też Warszawa nie była tak pusta, kwaśna i znudzona, jak obecnie. Nawet tłumna włóczęga po Nowym-Świecie w popołudnia świąteczne ustała; miasto zdaje się w trzech czwartych częściach wyludnione.

Żal mi bardzo tych... dzieci Melpomeny, które na scenach ogródkowych przed pustemi ławkami śmiać się, skakać, wykrzywiać i... błaznować muszą!

— Jakto, błaznować? Co pan pleciesz?

— Przepraszam, tak mi się to jakoś mimowoli wymówiło, wcale nie z rozmysłu, broń Boże! Chociaż wyraz nie był znowu tak bardzo nietrafnie użyty. A kto chce się o tem przekonać, niechaj się przyjrzy „Pięknym Warszawiankom." Niechaj też pomyśli trochę nad tą produkcyą literacko-sceniczną, a wysnuje sobie łatwo całą receptę, wedle której twórczość autorska produkuje dla ogródków. Pokaże się też, że słowo „błaznuje," które zgorszyło moich czytelników, jest wcale grzecznym terminem na oznaczenie roboty aktorskiej, której się do wystawiania takich *sztuk* używa.

A jednocześnie na scenie teatru Letniego grywa się „Teścia," krotochwilę spółkową Abrahamowicza

i Ruszkowskiego, rzecz napisaną nierówno, co prawda, ale pod wielu względami wyborną. I *grywa się* ją naprawdę, artystycznie, pomistrzowsku, z takiem wykończeniem klasycznem, że co do gry samej robi się z tego arcydzieło. Rapacki i Frenkiel w tym koncercie aktorskim górują nad wszystkimi, dowodząc faktycznie, że siły sceny nie osłabły wcale, choć je śmierć tak bardzo przetrzebiła, że nie potrzeba się o nie lękać, byleby tylko ta tysiącogłowa hydra, która się publicznością zowie, nie dała się pędzić po wertepach wyuzdania teatralnego takim „Pięknym Warszawiankom," albo „Czerwonym kapturkom!"

Od strony teatru echa żałobne przyniosły wieść o śmierci Józefy z Możdżeńskich Kurcyuszowej, niegdyś artystki dramatycznej, w chwili skonu kobiety już sędziwej i od lat dwudziestu nieczynnej na scenie. Nieboszczka swojego czasu stanowiła prawdziwą siłę, a mianowicie w rolach charakterystycznych. Posiadała postać piękną, dykcyą wyrazistą a poprawną, dużo bardzo uczucia i zrozumienia, posiadała też więcej jeszcze, co za kulisami, niestety, bywa prawie niesłychanem: szacunek wszystkich jako kobieta. Widywaliśmy to własnemi oczyma i możemy zaświadczyć, że w chwili, w której na scenie pojawiała się Kurcyuszowa, milkły zuchwałe dowcipy jej kolegów, nikły dwójznaczne uśmiechy koleżanek, atmosfera otoczenia przybierała taki nastrój, jak gdyby to wszystko, co w niej istniało, było jasne i czyste.

Wiem o tem dobrze, że pochwała dla kobiety uczciwej, gdy się mówi o aktorce, wyda się wielu czytelnikom dziwną. Wszak-ci to usiłowano niedawno dowieść, że aktorki z zawodu bywają istotami tak bardzo wyjątkowemi, iż dla nich kodeks codziennej a powszechnej moralności znaczenia mieć nie może. Jeżeli to prawda, to mam silną wątpliwość, ażaliby nie lepiej było, aby ów zawód, filozoficznie niby wyzwalający z pęt etycznych, a w rzeczywistości upadlający, istnieć przestał. Zdaje mi się jednak, że w odsądzaniu go od obowiązków moralnym nadmiernie przesadzono. Bywały przecież czasy, w których teatr nie demoralizował aktorów i publiczności, bywały aktorki-kobiety, przed któremi głowy się chyliły z uznaniem ich czci i honoru. Jeżeli jest inaczej, to znowu się to zmienić może, a to, co jest i jak jest, kłaść trzeba na karb tego chorobliwego przewrotu pojęć, który obecnie epidemicznie grasuje wszędzie.

Próbką jego jest oryginalna fundacya pewnej baletnicy, jakiejś panny Rosity Maure, tancerki paryzkiej, która przeznacza wcale piękny majątek na utworzenie konserwatoryum tanecznego! Ma ono wykształcać przyszłe córy Terpsychory... Warunkiem naczelnym jest niedopuszczanie mężczyzn do tej szkoły, w której się też ma baczyć na pewne względy moralne!

Pomysł prawdziwie operetkowy, z którego śmiaćby się wypadało, gdyby naprawdę nie był wysoką miarą przewrotu w pojęciach.

I słynna Adelina Patti głowi się również nad fundacyą stypendyalną dla przyszłych prymadon, a jakże; ale znakomita ta śpiewaczka czyni to nadewszystko wcelu utrwalenia w jaknajdalszą przyszłość swojej... znakomitości. Stypendystkom swego imienia nakazuje nosić na piersiach swój wizerunek!...

Powracając do żniwa śmierci, któremu nic a nic nie przeszkadzają deszcze, wichry i pioruny, poświęcamy słów parę świeżo zmarłemu Henrykowi Litolffowi, muzykowi, który ongi dłużej przebywał w Warszawie, będąc tu przez jakiś rok nominalnym kapelmistrzem orkiestry operowej. Nieboszczyk w usposobieniu swojem posiadał ogień i gwałtowność, które niezawodnie wiele bruździły karyerze artysty. Znamy wszyscy dobrze jego uwerturę „Żyrondyści," grywaną tu dawniej, znamy też jego koncert fortepianowy, który grywał sam przed publicznością warszawską, a z tych dwóch utworów można było sobie utworzyć niezmiernie pochlebne zdanie o twórcy.

Talent ogromnej miary, zapału wulkanowe zapasy, inteligencya pierwszorzędna śród artystów, życie burzliwe, przerzucające Litolffa z miejsca na miejsce, gorączkowo, niespokojnie. Trzy razy żonaty, dwa razy rozwodnik, przewodnik wydawniczej firmy Meyera, którą objął w posagu drugiej małżonki, ztąd twórca „Edycyi Litolffa," mającej prawie znaczenie klasyczne, z ojca Anglik, z matki Francuz, z dążeń i ideałów człowiek szlachetny, najcenniejszą spuściznę pozostawił po sobie nieboszczyk w swoich „Koncertach symfonicznych," którym krytyka przyznaje wartość pierwszorzędną.

Maryusz.

Z chwili bieżącej.

---

* **Odyssea balonowa.** Dnia 11 b. m. straż pograniczna stacyi Granica spostrzegła niezbyt wysoko unoszący się znacznych rozmiarów balon, w którego łódce znajdowało się dwóch ludzi. Straż jęła się ścigać balon, który pomykał w stronę Olkusza, i dopiero między Olkuszem, ubiegłszy zgórą 40 wiorst drogi, opuścił się na ziemię i wysiadło z nich dwóch aeronautów, prawie bez szwanku. Straż, kazawszy balon ułożyć na wóz, odprowadziła ich do Granicy, zkąd po uprzejmem przyjęciu przez władze miejscowe, wyprawieni zostali za granicę.

Pokazało się, że to byli oficerowie austryaccy: Józef Trieb, nadporucznik inżynieryi, i Hans Sojka, nadporucznik pionierów, którzy w dniu 10 b. m. o godzinie 6 wieczorem, puścili się w podróż napowietrzną z Wiednia, przetrwali wgórze silną burzę ponad Szlązkiem i przez Mysłowice dostali się ponad tutejsze terytoryum, gdzie opuścili się na ziemię o 6-tej zrana, wciągu 12 godzin przebywszy 700 kilometrów.

* **Szpital Dzieciątka Jezus.** I przeniesienia Szpitala Dzieciątka Jezus na nową siedzibę na folwarku Świętokrzyzkiem chcą się podjąć Francuzi. Pan Devars, który zdaje się być tutaj generalnym kapitalistów francuzkich agentem, wystąpił już z projektem, opartym na zobowiązaniu się wybudowania nowego szpitala, wzamian za budynki i place po dzisiejszym szpitalu przy placu Wareckim, na których hypotece odrazu zapewnionąby została rękojmia dopełnienia zobowiązań przez przedsiębiorców. Projekt ten, uwzględniający nawet częściowe przenoszenie pojedynczych oddziałów szpitala, wmiarę jak nowe pomieszczenie zostanie wygotowane, napozór nader korzystny a nadewszystko wygodny, napotkał jednak na pewne trudności. Mianowicie Rada miejska dobroczynności publicznej, obok innych wątpliwości, następujące postawiła pytania: 1) Czy budowa klinik uniwersyteckich przy nowym szpitalu jest konieczną, a jeżeli tak, to wjakim stosunku uniwersytet winien się przyłożyć do kosztów budowy? 2) Kto ma decydować wrazie niezgody inżynierów francuzkich z naszymi co do planów i kosztorysów? 3) Jak będzie z owem zabezpieczeniem na hypotece posesyi, która swojej osobnej hypoteki nie ma, podczas gdy Francuzi mają zupełną rękojmię w kontrakcie z rządem zawartym? 4) Kto wejdzie w skład komitetu nadzorczego nad budową nowego szpitala i jakie będą atrybucye tego komitetu?

Pytania te, zupełnie słuszne, uwzględnionemi zostaną niezawodnie, jeśli już koniecznie nawet i szpitale mają nam zagraniczni budować przedsiębiorcy.

* **Niefortunna ulica.** Do najbardziej zaniedbanych przez siebie i drugich ulic warszawskich, należy ulica Krochmalna. Mieszkają na niej przeważnie Żydzi, których niechlujstwo dochodzi do granic niepodobieństwa. Utrzymują, że w domach na Krochmalnej taki panuje porządek, iż w najsuchsze lato, na pierwszem piętrze, nie można trzechletniego dziecka puścić samopas, z obawy żeby nie utonęło w błocie.

Tym porządkom ubikacyi odpowiada reszta. Otóż ta biedna ulica, nadomiar swojej biedy, miała być skanalizowaną dopiero w roku 1894. Na szczęście użaliła się nad nią władza policyjna i przedstawiła konieczność jaknajrychlejszego skanalizowania tej części miasta. Spodziewać się należy, iż przedstawienie to skutek odniesie i że kanalizacya, wdzierając się we wnętrze brudów krochmalnych, istnieniu ich koniec nareszcie położy.

* **Ostrzeżenie.** Ktoby miał ochotę wysłać coś na wystawę amerykańską do Chicago, niech się ma na ostrożności, i niech się nie wdaje z pseudo-agentami wystawowymi, nie mającymi do tego upoważnienia rządu Stanów Zjednoczonych. Zacny konsulat amerykański, znający... spryt przemysłowy swoich ziomków a... naiwność naszę, otwarcie i uczciwie ostrzega nas o tem. Oby tylko wszyscy interesowani pamiętali o tej przestrodze!

* **Jeszcze jedna idylla.** Wiadomo iż cesarzowa niemiecka, wczasie gdy małżonek jej odbywał wycieczkę do Skandynawii, udała się z dziećmi do zaleconych jej przez lekarzy kąpiel morskich w Felixtone, w Anglii. Tam dzieci cesarskie polubiły bardzo małego Szkota, dozorcę mułów i osiołków, na na których codzień dzieci jeździły. Chwila rozstania była bardzo tkliwą, obie strony popłakały się serdecznie. Przyszło do tego, że cesarzowa zaproponowała rodzicom chłopca, aby go oddali na jej opiekę, i chciała go zabrać do Berlina. Rodzice nie wiele robili ceremonii, owszem, uśmiechała się im myśl o świetnym losie syna, ale chłopiec sam, choć także przywiązał się do dostojnych swoich przyjaciół, ani słyszeć o tem nie chciał.

— Nie, nie! — wołał, — tutaj osły zmarnowałyby się bezemnie, za nic w świecie nie pojadę!...—I nie pojechał!

Idyllicznem jest to przywiązanie dzieci cesarskich do dziecka prostego wieśniaka, ale bodaj idyllieczniejszem jeszcze wydaje się to poświęcenie własnej karyery dla miłości osłów!...

G. Cz.

☞ Do dzisiejszego n-ru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Oliwa Nicejska.
Ocet winny.
Essencya Octowa.
Szafran i Wanilla.
Perfumy.
Woda Kolońska.
Mydło krajowe i zagraniczne.
Gąbki i Wyroby gumowe.
Środki opatrunkowe.

CENY NIZKIE. — W NAJLEPSZYM GATUNKU.

Skład Mat. Aptecznych

Trzciński, Urbanowicz i Różycki,

Krakow.-Przed. 17

wprost kościoła po-Karmelickiego,
w WARSZAWIE.

Fabryka egzystuje od 1875 r. Twarda 2.

Magazyn Bielizny Damskiej i Mezkiej oraz Skład Płócien

I WYROBÓW POŃCZOSZNICZYCH

„LEONA,"

123 Marszałkowska 123
(wprost kliniki),
W WARSZAWIE.

Poleca w znacznym wyborze: Koszule damskie i mezkie, kołnierzyki, mankiety w najświeższych fasonach, chustki do nosa, krawaty, spinki, szelki, pończochy, skarpetki oraz wszelkie wyroby trykotowe, wełniane, jedwabne i bawełniane. Sprzedaż hurtowa i detaliczna. Zamówienia wykończa spiesznie i starannie. Ceny najniższe.

GLAZURA

NA OBUWIE DAMSKIE I DZIECINNE
z fabryki **Al. Karwackiego**, jedyny produkt nie psujący skóry i nie smolący bielizny.

A. Nowakowski,
3. BIELAŃSKA 3. 84—6—

Egzystująca od lat 8 pod firmą

LEONTINE

Szkoła Kroju i Szycia
systemem

WORTH'A

jedynie za pomocą centimetru.

ERYWAŃSKA Nr 14.

Przyjmuje na naukę z zupełnem utrzymaniem w zakładzie LEONTINE. 86—6—6

Po ukończeniu kursu wydawane są świadectwa potwierdzone przez władzę.

LEONTINE — Doskonały krój na sposób francuzki, bez pasowania. — Gruntowna nauka kroju sukien. — LEONTINE

FABRYKA KWIATÓW
B. Grabskiej,

ulica Długa Nr 12, w Warszawie.

Mam honor zawiadomić iż moją **Fabrykę Kwiatów** z dniem 8 Lipca przeniosłam ze sklepu parterowego do tego samego **domu na 1-sze piętro od frontu, gdzie również założyłam Fabrykę piór strusich i fantazyjnych**, z czem polecam się względom PP. Handlującym oraz Sz. Publiczności.

Z poważaniem
5—5 **B. Grabska.**

Pralnia NATALII

28. Nowy-Świat 28. 77 9—12

Po powrocie właścicielki z praktyki w Berlinie, przyjmuje do prania sposobem czystogospodarczym nie niszczącym bielizny.

WAŻNE DLA PRACOWNI dziecinnych ubrań trykotowych!

Do składu D. Herszberga. Franciszkańska 36, nadeszły z zagranicy w wielkim wyborze, artystycznym wykończone **kotwice, korony i gwiazdki,** zupełnie **imitujące hafty,** które się poleca po cenach b. przystępnych. 85—8—8

KIO-CZI

66—6—6

Niezawodny środek na pluskwy

A. Nowakowski.
BIELAŃSKA Nr 3.

MAGAZYN
Strojów Damskich
GUSTAWY WACHS

ulica Królewska № 51,
w domu W. Neufelda. 89—6—8
W WARSZAWIE.

A LA PARISIENNE

ulica Chmielna Nr 30. mieszkania 2
(pomiędzy Marszałkowską a Bracką) w Warszawie.

Pracownia sukien, okryć damskich i ubranek dziecinnych. Wykonywa wszelkie roboty podług **paryzkich żurnali** z własnych i powierzonych materyałów po cenach umiarkowanych, przytem stroje i wogóle bielizna. Przy pracowni znajduje się upoważniona przez Rząd
4—6 **SZKOŁA KROJU I SZYCIA**
sposobem francuzkim podług metody ***Worth'a.***

Przy pracowni przyjmują się panienki do nauki i na stałe. — **Wydają się patenta.**

K: pelusze żałobne od rs. 2 k. 50
Woalki krepowe „ 1 „ 50
Suknie żałobne „ 13
Suknie pośmiertne „ 4
Kapy atłasowe „ 4
Czepki i pantofle „ 1
Trumny metalowe „ 28
„ drewniane „ 10
Wieńce metalowe „ 3
Kompletne pogrzeby „ 25
76—5—6

W WARSZAWSKIEM
Przedsiębierstwie Pogrzebowem
Z. Fijałkowskiego,
Krakowskie-Przedmieście № 1 (obok koś. św. Krzyża).
Magazyn na ulicy Senatorskiej zupełnie zwinąłem.





FABRYKA KWIATÓW,

wielki wybór kapeluszy damskich
podług modeli paryskich poleca

WANDA SIWIŃSKA

Krakowskie-Przedmieście 61
wprost Resursy Obywatelskiej.

Pierwszorzędne Kancyonowane Biuro
NAUCZYCIELSKIE
F. Sikorskiej,
w Warszawie, Niecała Nr 12.

Upoważnione przez Władzę na Cesarstwo i Królestwo, pośredniczy w umieszczeniu nauczycieli, nauczycielek i bon. 102 2—6

Wyróżniająca się dobrocią
WODA KOLOŃSKA

ABÉ

jest do nabycia we wszystkich znaczniejszych magazynach perfumeryjnych i galanteryjnych.
Skład Główny, Aleja Jerozolimska Nr 64, w Warszawie. 104 1—6

ZAKŁAD REPERACYJNY
i fabryka wyrobów 1032—10
TOKARSKO-GALANTERYJNYCH
Feliks Krzemiński
w Warszawie, Nowo-Senatorska Nr 3.

W Warszawie. 106—1—12
FABRYKA KWIATÓW
A. Rastawieckiej,
Bielańska 8,

Podziękowanie.

Brak mi słów dla wyrażenia wdzięczności **panu Juljanowi Dreherowi**, optykowi, utrzymującemu swój zakład na **ulicy Szpitalnej Nr 6**, za **trafny i nader staranny dobór okularów** (dalekowidzów), **i binokli do czytania.** Mogę go tylko polecić wszystkim co dla poratowania wzroku są w potrzebie zaopatrzenia się w sztuczne szkła, a pragną nabyć je **tanio i dobrze.**

Dym. Podpułk. A. NECKI.

Marya Matuszewska
PRZEŁOŻONA PENSYI WYŻSZEJ ŻEŃSKIEJ
w Warszawie, Leszno 28,

zawiadamia, że codziennie od godz. 10 do 6 na warunkach bardzo przystępnych, odbywa się zapis uczennic przychodnich, pensyonarek i półpensyonarek. 2—2
Lekcye rozpoczną się 20 Sierp. 1 Wrześ.

Konstancya Swołyńska

Przełożona Pensyi żeńskiej 4-ro klasowej, 2—2
NOWY-ŚWIAT
Nr 42.

Zawiadamia szanownych rodziców i opiekunów, że kurs nauk rozpocznie się 20 Sierpnia (1 Września). Zapis uczennic przychodnich i pensyonarek przyjmowanym będzie codziennie od 8/20 Sierpnia, od 10—12 rano i od 4—6 popołudniu.

Zakład wywabiania Plam i Farbiarnia
LUDWIKA STRASZKIEWICZA,
przy ul. Kruczej Nr 34,
105 1—6 W WARSZAWIE.

Max Konrad Ziemens,

ulica Długa 27, parter.

Jako długoletni technik dentystyczny wprawia sztuczne zęby podług najnowszych systemów, w złocie i kauczuku, oraz na sztyfcikach. Za dobroć materyałów gwarantuje.
1—8

Krawiecki Zakład Reperacyjny
oraz
Pracownia Ubiorów Mezkich
Nowy-Świat 57, m. 5.

Przyjmuje obstalunki i reperacye po cenach najniższych. Wybawianie plam i czyszczenie sposobem chemicznym. 96—4—8
Nowy-Świat 57, m. 5.

Zakład Reperacyjny. — **Zakład Reperacyjny.**

FRANCUZKA SZKOŁA RZEMIOSŁ

SZPITALNA Nr 6
(dawniej Mazowiecka Nr 11)

Wykład kroju systemu Laferiere i Wortha, szycia krawatów, gipiur, kapeluszy, derkowych i włóczkowych robót, haftu białego i artystycznego, malarstwa na porcelanie, jedwabiach, płótnie i glinie. Wydaję patenty, przyjmuję pensyonarki, dla praktycznych zajęć jest przy szkole pracownia sukien i okryć. 92—2—6

Дозволено Цензурою. Варшава, 7 Августа 1891 г.

Redaktor i Wydawca Emil Skiwski.

Druk Emila Skiwskiego, Warszawa, Chmielna №. 26.

Dodatek.

Opis do N-ru 33.

(Dokończenie).

N. 18, 20 i 23. **Suknia** z długim stanikiem.

Na ryc. 23 daliśmy wymiar kroju stanika z długą baskiną, która kraje się w jednym ciągu z przodami, dopełnia krótkie boczki i plecy i tylko z tyłu złożona jest w fałdy (patrz ryc. 20). Krótkie kamizelkowe przody zapięte na guziki, przyciska gorsecik z materyi odmiennej; szyje on się z jednego kawałka, przymarszczonego dwa razy na środku, z boków zfałdowanego i z jednej strony przyszytego, z drugiej przypinanego na haftki. Spódnica z prostych brytów z przodu wszyta gładko, z tyłu ściśle zmarszczona. Model był z popielatej alpagi, z białym krepowym gorsecikiem i mankietami; wyszycie dane z białego sutaszu; na lewem ramieniu kokarda z wstążki.

N. 19 — 22. **Sukienka** z przybraniem w kształcie karczka dla młodej panienki.

Na staniku u góry gładkim, u dołu na środku przodów i pleców lekko przymarszczonym, naszycie z czarnej aksamitki odznacza kwadratowy karczek otoczony riuszą z materyału sukni, zakończającą również suknię u dołu i rękawy. Ryc. 22 daje wymiar brytów zwierzchniej spódnicy; po złożeniu fałdów oznaczonych przy brzegu bocznym przodu (*a*), zeszywa go się od krzyżyka do punktu z tylnym brytem (*b* daje połowę), daje fałdki oznaczone na środku przodu, zwrócone do siebie i przyszywa zwierzchnię spódnicę na podszewkowej o 2 c. poniżej paska. Następnie wystający na 16 c. brzeg górny łączy się i przymarszcza ściśle złożywszy gwiazdką do gwiazdki, przez co powstałe na biodrach fałdy tworzą jakby małe paniers. Tylny bryt jest ściśle zmarszczony, przód zaś lekko naddany i wszyty w pasek. Model sukni był z wełnianego muślinu blado niebieskiego w czarny deseń, przybrany czarną aksamitką zapiętą krótko w pasie a przy kołnierzyku stojącym spuszczoną w bardzo długie końce.

N 25 i 6. **Ubranie** z luźną bluzką do wiosłowania i t. p.

Dla młodych osób na wsi w porze letniej chcących używać różnych wiejskich przyjemności, jak: powożenia wiosłowania różnych gier na świeżem powietrzu, bardzo i prawie niezbędną w użyciu jest luźna z przodu bluzka z trykotowego materyału. O wiele zgrabniejsza od używanych dotychczas zupełnie wolnych bluzek, obciśniętych paskiem lub wsuniętych pod spódnicę, bluzka przedstawiona na ryc. 25 ma wcięte do figury plecy i boczki bez podszewki, krajane z małem fałdowanem karczkiem, podług formy zwykłego stanika. Przody luźne u dołu opuszczone w bufkę mają trykotową podszewkę dopasowaną z zaszewkami i zapiętą na haftki. Kołnierz marynarski 13 c. długi; rękawy ujęte w mankiet 12 c. wysoki, zapinany na guziczki. Podłużny wykrój szyi dopełniony plastronem z jednej strony przyszytym, z drugiej przypinanym haftkami, na którym jedwabiem białym wyhaftowane dwa wiosła. Spódnica z przodu podpięta w parę fałdów, z tyłu ściśle zmarszczona, ma z boków wstawione plisowanie, przyciśnięte w górze patkami z pletni wełnianej $3\frac{1}{2}$ c. szerokiej. Rycina 6 przedstawia kostium tem z tyłu.



N. 1. Suknia z fałdowaną baskiną. Patrz ryc. 16.

N. 2. Suknia ze stanikiem z tyłu zapiętym. Patrz ryc. 7 w N. 33.



N. 4. Okrycie koronkowe dla starszej osoby. Patrz ryc. 5 — 6.



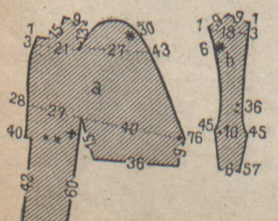
N. 7. Pelerynka koronkowa z szalowemi końcami. Patrz ryc. 8—9.



N. 6. Okrycie koronkowe dla starszej osoby. Patrz ryc. 4—5.



N. 9. Pelerynka koronkowa z szalowemi końcami. Patrz ryc. 7—9.

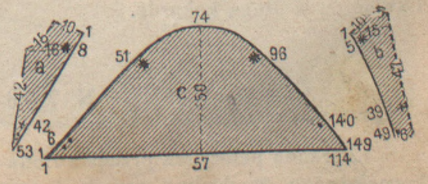


N. 5. Wymiar kroju do ryc. 4 i 6.

Opis do N-ru 34.

N. 1 i 16. **Suknia** z fałdowaną baskiną.

Strojna letnia toaleta ma spódnicę z ażurowo haftowanego, żółtawego batystu, 250 c. szeroką, spuszczoną gładko na spódnicy batystowej zakończonej plisowaniem 32 c. szerokiem.



N. 8 Wymiar kroju do ryc 7 i 9.



N. 10. Ząbki szydełkowe do ryc. 12.



N. 12. Lambrekina lub przykrycie do framugi okna. Patrz ryc. 10—13. Haft włoski ściegiem przeplatanym i sznureczkowym.



N. 11. Ząbki do ryc. 12.

Stanik ma rodzaj krótkich kaftanikowych przodów, zmarszczonych w całej długości; po dwójne przemarszczenie wzdłuż brzegów przednich oddziela nagłówek 3 c. szeroki, zachodzący na wązką, haftowaną kamizelkę. Wszywka haftowana 3 c. szeroka naszyta cztery razy wzdłuż pleców i tylnych boczków krajanych w jednym kawałku. Baskina przyszyta od spodu do stanika, zaplisowana wokoło w plaskie fałdy wymaga kawałka 32 c. długiego, 280 c. szerokiego zakończonego u dołu 12 c. szerokim haftem; fałdy z tyłu schodzą się do środka. Rękawy wykrajane z części haftowanej podług wymiaru danego na ryc. 16; kropki i krzyżyki wskazują przefałdowanie poniżej łokcia, poza którem brzeg dolny rozrzuca się w falbanę. Kołnierzyk stojący z haftu.

N. 2. Suknia ze stanikiem z tyłu zapiętym. Patrz ryc. 7 w N. 33.

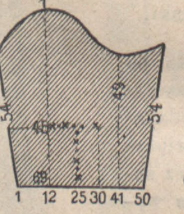
Podszewka stanika gładko dopasowana do figury, materyał zwierzchni na przodach rozsunięty zupełnie gładko, na plecach jest w górze zmarszczony w całej szerokości u dołu zaś ściśle zebrany w fałdki. Dolny brzeg stanika ogarnirowany blondyną 12 c. szeroką, w górę naszytą gładko do dołu zmarszczoną. Fałdowana blondyna otacza zwierzchu pachę i przykrywa pasek od szyi 3 c. wysoki; od spodu wysuwają się pukle z wstążki po 6 i po 10 c. długie. Spódnica z prostych brytów, 280 c. szeroka, z przodu gładka z tyłu ściśle zmarszczona, u dołu zakończona wolantem 16 c. szerokim, przyszytym pod obrębem 3 c. szerokim. Model sukni był z muślinu białego w lila kwiaty, przybrany w oryginalny sposób blado lila atłasową wstążką 2 1/2 c. szeroką, upięta nakształt paniers na spódnicy z przodu, z tyłu spuszczonej w długich końcach.

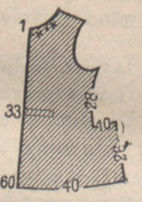
N. 4 — 6 Okrycie koronkowe z szalowemi końcami.

Dla osób starszych dobrej tuszy bardzo zgrabne są okrycia z długiemi szalowemi końcami; ryc. 4 i 6 przedstawiają model wspaniałego okrycia z przodu i z tyłu. Czarny jedwabny tiul wyszyty w arabeski grubym jedwabnym sznureczkiem i czarnemi perełkami; podszewka z materyi jedwabnej. Na ryc. 5 wskazaliśmy wymiar kroju: przody *a* krają się w jednym ciągu z rękawami, zmarszczonemi do gwiazdki i zeszytemi z plecami (*b*) od gwiazdki do punktu. Brzegi okrycia zakończa 14 c. szeroka koronka Chantilly, miejscami zmarszczona miejscami gładko. Kołnierz stojący ogarnirowany plisowaną koronką 7 c. szeroką; na wcięciu stanu przy dwukropku przyszyta wstążka do wiązania, 6 c. szeroka na przodzie w miejscu oznaczonem krzyżykiem wysunięta na wierzch i związana w długą kokardę.



N. 13. Zakończenie dolne (kratka, szlak i frendzla) do ryc. 12.





N. 17. Wymiar rękawa do ryc. 1.

N. 15. Wymiar kamizelki do ryc. 14.



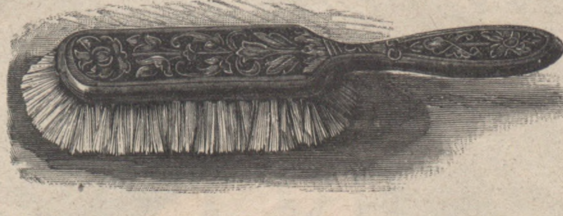
N. 14. Suknia z długą kamizelką. Patrz ryc. 15 i 30.

N. 7—9. Pelerynka koronkowa z szalowemi końcami.

Zgrabna pelerynka przedstawiona z przodu na ryc. 7 uszyta jest z koronki Chantilly 10 c. szerokiej, tiulu koronkowego w drobny rzucik i torsadki jedwabnej, na podszewce ze sztywnego tiulu. Rycina 8 daje wymiar kroju podszewki, przody i plecy krają się podług *a* i *b* i układają wzdłuż w fałdki z tiulu po 2 c. szerokie, przedzielane torsadką tejże szerokości i zachodzące na nią prawie do połowy. Litera *c* oznacza części pelerynowe uszyte z koronki, na ramionach przymarszczone od gwiazdki do gwiazdki i zeszyte od dwukropka przez gwiazdkę do punktu z przodami i plecami a od punktu końce zeszywają się z sobą. Kawałek sztywnego tiulu 42 c. długi 14 szeroki, z obydwóch stron zaokrąglony i przyszyty na ramieniu podtrzymuje fałdy w górę. Na końce szalowe po 40 c. szerokie po 60 długie, zakończające przody, potrzeba najpierw zeszyć koronkę brzegami do środka, następnie otoczyć wokoło koronką lekko namarszczoną. Kołnierzyk stojący z fałdowanej koronki; kokardy z wstążki repsowej 4 c. szerokiej; przyszycie wstążki na wcięciu stanu oznaczają krzyżyki na części *a* i *b*.



N. 17. Wytłaczanie na skorze do ryc. 18. Deseń w naturalnej wielkości.



N. 18. Szczotka ozdobiona wytłaczeniem na skórze. Patrz ryc. 17.

N. 10—13. Lambrekina lub przykrycie do framugi okna. Haft włoski ściegiem przeplatanym i sznureczkowym.

Deseń naśladowany podług starożytnego wzoru z muzeum Drezdeńskiego, otoczony i zakończony szlaczkiem, który w naturalnej wielkości przedstawia r. 13. Na niej widać dokładnie ścieg zakrywający tło między deseniem, wyszyty na grubej szarej kanwie Aïda, grubą bawełną. Deseń odznaczony ściegiem sznureczkowym był w górnym szlaczku czerwonawo-brązowy, wyszycie tła oliwkowe. Ścieg włoski przeplatany zajmuje się przez dwie nitki na wysokość, w ściegach idących naprzód przez dwie nitki na szerokość, a w ściegach powrotnych przez jedną nitkę. Każdy rząd ściegów zaczyna się wysokim krzyżykiem przez jedną nitkę. Przy szlaczkach ryc. 13 dane z brzegów wyszycie ponsowe i rząd blaszek, przytwierdzanych żółtym jedwabiem. W szerokim szlaku kontury ściegiem sznureczkowym wyszyte są kolorem zielonym, tło ponsowym. Frendzla kwaścikowa ($11\frac{1}{2}$ i 14 cent. długości) wiązana z nitek kanwy wysiepanej; potrzeba liczyć na nią 25 c. do wysiepania, a kwaściki pogrubiają się dodaniem kolorowej bawełny. Między szlakiem szerokim a zakończeniem dolnem dany szeroki pas kratki ażurowej, którą widać na ryc. 13; zajmuje ona na szerokość 36 nitek tła, z którego naprzemian dwie nitki wysiepane, dwie pozostają, co tworzy równą krateczkę, na krzyżowaniu ozdobioną ponsowym krzyżykiem. Kanwa w górze podwrębia się lub podszywa i zakończa brzeżkiem szydełkowym podług ryc. 10; można przyszyć mignardise z ząbkami jak na ryc. 11.



N. 19. Podstawa wisząca do bukietu kwiatów. Patrz ryc. 20.

N. 14—15 i 30. Suknia z długą kamizelką.

Stary francuzki fason długich kamizelek męzkich z fałdzistym żabotem, zastosowany zosłał w ubraniu damskiem; ażeby dobrze naśladowała przeszłość kamizelka musi być z kolorowego adamaszku brokatu, lub ciężkiej materyi w guście wschodnim. Obie połowy krają się podług wymiaru r. 15 (zastosowanego podług figury), pod szyją fałdują, na wcięciu stanu przymarszczają do wstążki podszytej od spodu podług linii podwójnej. Boczne brzegi kamizelki łączą się z baskiną dopełniającą plecy i boki stanika, złożone z tyłu w fałdy zwrócone do środka. Na szwie w pasie dana aksamitka 5 c. szeroka, przewleczona przez szwy boczne i przytrzymująca żabot krepowy, z tyłu zaś spuszczona w długie końce. Kołnierz i mankiety aksamitne ogarnirowane falbanką krepową. Spódnica powłóczysta złożona z prostych brytów, wszyta gładko w pasek z przodu i z boku, a tylko z tyłu zebrana w ściśle fałdy.



N. 21. Fotel z pasem wyszywanym. Patrz ryc. 22—24.

N. 17—18. Szczotka ozdobiona wytłaczaniem na skórze.

Przed paru laty podaliśmy już w Tygodniku Mód szczegółowy opis wytłaczania deseni na skórze, dziś przedstawiamy tę robotę zastosowaną na oprawie do szczotki do czyszczenia sukien lub ozdobnych mebli. Rycina 17 daje całość deseniu w naturalnej wielkości; skórę podług gustu można wybrać jasną lub ciemną; tło między deseniem całe wybijane w punkta, a deseń wytłoczony dość wypukło. Wzór ten można zastosować także do malowania farbą olejną kolorową.

N. 19—20. Podstawa wisząca do bukietu kwiatów.

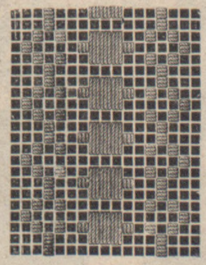
Składa się z trzech grubych trzcin bambusowych, po 36 c. długich po 14 c. obwodu mających, u dołu połączonych z sobą. Trzy sznury po 60 c. długie skręcone w górze i zaczepione za kółko mosiężne służą do zawieszenia. Dla utrzymania wody wsunięte są w środek rurki blaszane zalutowane u dołu. Zwierzchu trzcinek wyrznięty desenik w guście chińskim, przy pomocy ostrego szpiczastego scezoryka; wyrzynanie zastąpić można malowaniem.



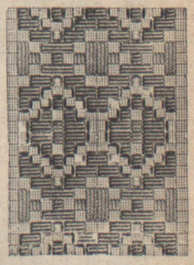
N. 20. Deseń do ryc. 19.

N. 21—24. Fotel z pasem wyszywanym.

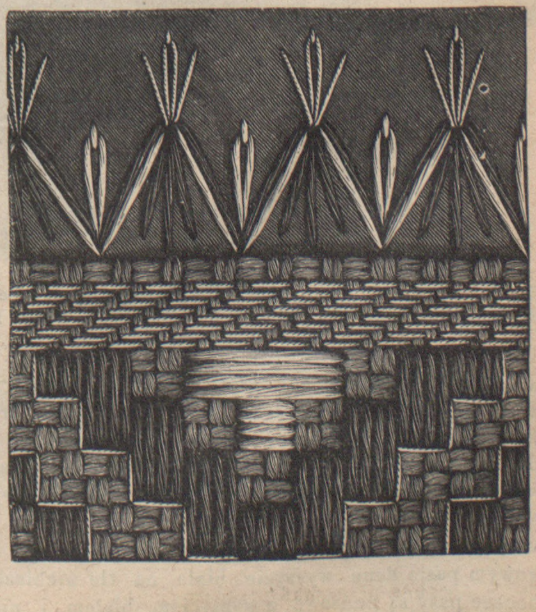
Fason z podstawą stanowią grube pręty trzcinowe; do siedze-



N. 22. Desenik na pas środkowy do ryc. 21.



N. 23. Desenik na pasy boczne do ryciny 21.



N. 24. Próbka wyszycia do ryc. 21. Wielkość naturalna.



N. 25. Suknia z bluzką i paskiem gorecikowym. Patrz ryc. 28.—N. 26. Suknia z bretelkami dla panienki lat 13—15. Patrz ryc. 29.—N. 27. Plecy do r. 2 w N. 33.—N. 28. Plecy do ryc. 26.—N. 29. Suknia z bretelkami. Patrz ryc. 26.—N. 30. Suknia z długą kamizelką. Patrz ryc. 14—15.— N. 31. Suknia z gorsecikowym stanikiem. — N. 32. Suknia z koronkową baskiną.

nia można przybić mocne szare żaglowe płótno i przykryć je haftowanem przykryciem, lub takowe wprost przytwierdzić do prętów. Na modelu przykrycie składało się z trzech po 13 c. szerokich pasów wełnianej kanwy Charlotte ze złotemi brzeżkami, zeszytych ze sobą a z brzegów bocznych zakończonych 4 c. szeroką listewką z niebieskiej krepy wełnianej lub sukna. Na środkowym pasie dane wyszycie białe na tle niebieskiem; boczne pasy są ponsowe z wyszyciem białem i niebieskiem, z obwódką z nitki złotej przy ciemniejszych częściach wyszycia. Rycina 24 daje próbkę wyszycia w naturalnej wielkości, ryc. 22 i 23 dają deseniki do obliczenia ściegów. Każdy znaczek liczy po dwie nitki tła wzdłuż i wszerz. Na brzeżek wyszyty w zęby ściegiem luźnym użyta filozela niebieska i ponsowa z dodaniem nitki złotej. Frendzla kwaścikowa 12 c. szeroka i sznury z kwastami dopełniają przyozdobienia.

N. 25 i 28. Suknia z bluzką i paskiem gorsecikowym.

Marszczona wokoło spódnica z brytów prostych 240 c. szeroka zakończona wolantem 25 c. szerokim (400 c. długości), przyszyta jest do paska gorsecikowego, pokrytego haftem, u dołu prostego, w górze podwyższonego w ząb. Bluzka uszyta na podszewce dopasowanej do figury, ma szpiczasty karczek haftem pokryty; brzegiem karczka gładkie plecy przyszyte są gładko, przody zaś przymarszczone w nagłówek 3 c. szeroki. Rękawy bufiaste zakończone wązkim mankietem 19 c. wysokim, kołnierz 6 c. wysoki. Model był z różowego zefiru przybrany różową repsową wstążką 8 c. szeroką, haft wykonany biało na różowym kanwowym materyale.

(*Dokończenie nastąpi*).